

POWIEŚĆ i NOWELA

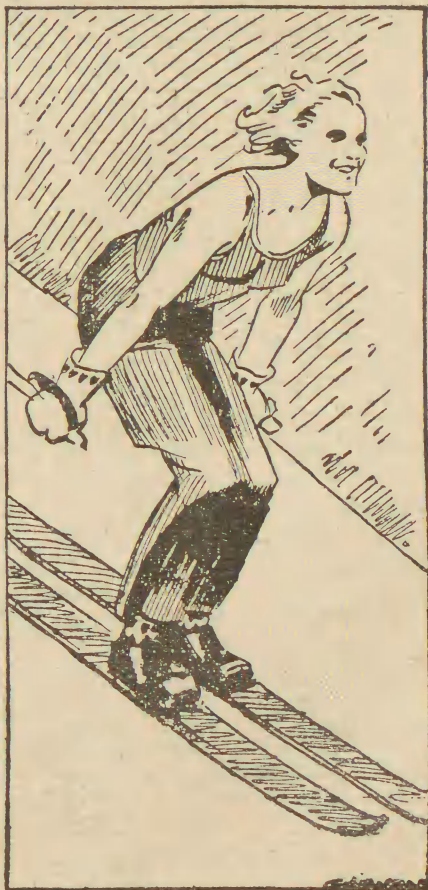
bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Świata”
do N-ru 13-go z dnia 30. III. 1935 r.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE!

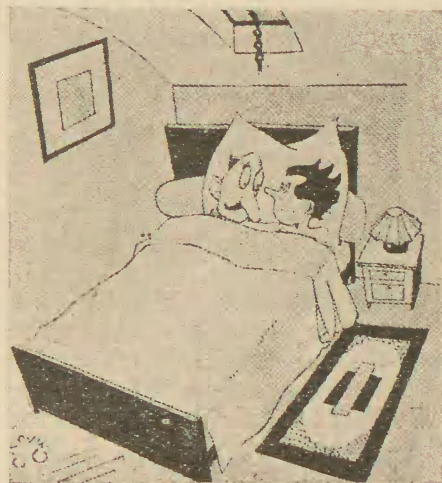
SPORTY ZIMOWE.



dawniej...



i dziś...



„No ale ostatecznie mój drogi Pawle...
— Pawle? Chcesz chyba powiedzieć Jakubie.
„Oh, przepraszam.. myślałam, że to już piątek”.

DOKŁADNY.



— Daję panu słowo honoru.
„Przedwojenne, czy dzisiejsze?”

TAKIE NATURY...

(NOWELA)

Ben Tyler, marynarz, natychmiast po powrocie z Hong-Kong wynajął taksówkę i prosto z doków Cardiffu pojechał do swojej dziewczyny.

Od matki Lucy dowiedział się, że sprzykrzyło się jej czekanie i zabrała się z Samem Bullenem z „Czajki“. Wówczas powrócił tą samą taksówką do doków, aby zapytać o „Czajkę“.

— Odplynęła zeszłego tygodnia — brzmiała odpowiedź.

— Dokąd?

— Do Bostonu.

— Czy Sam Bullen był na niej?

— Bullen? Owszem, tak mi się zdaje.

— Dobra.

Po sześciu dniach już i Ben był na morzu. Informował się na prawo i lewo i dowiedziawszy się, że z portu w Avonmouth ma wyruszyć w kierunku Bostonu okręt „Fala“, zaciągnął się.

Szybkość ma większą od „Czajki“ — mówił sobie Ben. — Poczekaj, ty kanałowy szczurze. Zobaczysz, co to zdmuchnąć mi dziewczynę z przed nosa.

Burze utrudniły i powstrzymały ich podróż. SOS, wysłane przez statek handlowy, zmusiło ich do zboczenia o 60 mil z drogi, zanim radio oznajmiło, że pomoc już nadeszła. Pod koniec podróży „Fala“ zmarudziła jeszcze całą dobę, zanim ostatecznie wpłynęła do portu w Bostonie.

Ku wściekłości Bena, w tej samej chwili wysunęła się z niego, cicho i spokojnie, „Czajka“. W porcie Ben dowiedział się, że „Czajka“ odplynęła do Valparaiso. Wrócił na „Falę“ i ukradkiem zapakował swoje manatki.

Chciał opuścić „Falę“ bez awantur. Żał mu było zmarnowanej gaży, lecz trudno... Miał jeszcze pieniądze pozostałe z podróży z Hong-Kongu.

Żaden statek nie jechał do Valparaiso, lecz o świcie miał odbić parowiec w kierunku Caldero, położonego nieco dalej. Napotkany marynarz wątpił, czy znajdzie się robotą na owym statku, lecz... kto wie... może...

Ben westchnął i sięgnął po uciulany grosz. Tamten zaraz się ożywił i powiedział, że już jakby załatwione. A jeśli Ben woli, może przyjsć na statek, kiedy już noc zapadnie...

Ben „wolał“, bo już zauważył ze swojej kryjówki członków załogi „Fali“, przetrząsających doki. Domyślał się, że jest celem ich poszukiwań.

Kiedy Ben przybił do Caldero, uprzejmi mieszkańcy pokazali mu mały, brudny stateczek przybrzeżnej żeglugi Santa Lucia, jadący do Valparaiso, który dopiero co odbił od brzegu.

Ben zrobił z dłoni megafon i krzyczał: — Hoj! hoj! czekajcie na mnie.

„Santa Lucia“ zainteresowała się, zatrzymała maszynę i czekała na dalszy rozwój wypadków.

Widząc, że nie ma najmniejszego zamiaru wracać po niego, Ben porzucił swoje rzeczy i skoczył w morze. Podpłynął do statku i został wciągnięty na pokład.

Ani szyper, ani jego załoga nie mówili po angielsku. Ben powtarzał wyraz „Valparaiso“ przez

całą skalę tonów od rozkazującego do błagalnego. Wysypał też trochę srebra na śniadą rękę szypra.

— Mściwy nie jestem — mruczał do siebie — ale taką naturę mam, że jak mnie kto świństwo zrobi, to swego nie daruję. Pięściami robię porządek.

Pluł w dlenie i prężył mięśnie, stojąc na dziobie okrętu i patrząc, jak Valparaiso wylania się z porannej mgły.

Ale „Czajka“ ponownie wymknęła się Benowi. Nabrała niespodziewanie ładunku i popłynęła dalej wzdłuż brzegu do małego portu, Daluzji.

— Nic ci to nie pomoże, chłopysiu, że tak mi się wymigujesz — monologował Ben. — Jak cię wreszcie w swoje ręce dostanę, to tylko gorzej oberwiesz.

Potrzeba było aż trzech statków, aby Ben dojechał do Daluzji. Pracował na każdym za przejazd.

Zaraz rozpoznał „Czajkę“ w porcie.

— „Czajka“! ahój! — wykrzyknął.

— Hallo — odpowiedział palacz, wygrzewający się na słońcu.

— Czy Sam Bullen jest u was?

Palacz wyrazistym ruchem wskazał miasteczko. Tam udał się mściciel.

Ben zaglądał do każdego napotkanego szynku. Przy siódmym wytrzymałość jego została nagrodzona.

W pustej sali siedział Sam przy stoliku, pochylony nad jakimś mrożonym napojem.

Ben podszedł prosto do niego i rzekł:

— Ty... psi synu!

Nie wymieniał dalej rzekomych przodków Sama, choć wątpić należy, aby go powstrzymały względy przyzwoitości. Sam zerwał się na równe nogi i cisnął krzesłem w Bena, w tej samej chwili, kiedy tamten wywrócił na niego stolik. To był wstęp.

Potem nastąpiła walka, jakiej miasto Daluzja, obeznane ze wszystkimi rodzajami bójek, nigdy nie widziało.

Tęga pani, stojąca za szynkwasm, załamała rękę, widząc, jak szkło i porcelana zaświecają podłogę i ani jeden stół ani krzesło nie stoją na swoich nogach. Walczący, zaciętrzewieni, nie zwracali na nic uwagi. Wrzask kobiety sprowadził jej męża.

— Panowie! — wołał bezskutecznie właściciel. — Przekłete Angliki. Ej, zawołajno chłopców. Zaraz ich tu „okej“ urządzimy.

Na wezwanie grubej pani zjawiała się gromada oliwkowych drabów, którzy rozdzielili walczących panów Tylera i Bullena.

Przeciwnicy, dysząc głośno, popatrzyli w zdumieniu.

— Do diabła, zabierajcie się stąd! — wykrzyknął Sam.

— Faktycznie — Ben przytaknął z oburzeniem. — Nie waszej babci interes. To są osobiste porachunki.

Wyrwał się napastnikom i rzucił na Sama.

Ktoś uderzył go w głowę krzesłem. Ktoś inny kopnął Sama boleśnie w gołę. Walka zrobiła się ogólna.

Sam i Ben posiadali teorię i praktykę. Napastujący górowali liczbą. Rezultatem była bitwa na wielką skalę.

— Plecami do mnie! — wrzasnął Ben.

Sam, z wesołym okrzykiem, usłuchał go. Młocąc krzesłem, jak cepem, rozłożył na podłodze śniadego pana, chcącego zapoznać bliżej karafkę z ciemieniem Bena. W tym samym czasie Ben schwycił za ciężko obutą nogę jegomościa, który właśnie miał kopnąć w brzuch jego towarzysza. Wytrącony z równowagi, właściciel nogi machnął koziołką, a głowa jego z donośnym brzękiem uderzyła w spluwaczkę.

Wreszcie przybyła policja i umieściła się w bezpiecznych miejscach, żeby spokojnie przyglądać się walce. Dopiero kiedy stało się jasne, że jeśli się nie wnieszą, zwycięstwo przejdzie na stronę Anglików, przyłączyli się do ataku z powagą i urzędowymi okrzykami. Dwie butelki spadły równocześnie na dwie angielskie głowy. Sam i Ben westchnęli jednogłośnie i osunęli się na podłogę. Bitwa była zakończona.

Nazajutrz promienie słońca, padające przez

okrągowane okno aresztu, obudziły Bena. Jęknął i ostrożnie pomacał głowę. Była cała, choć nieco zmieniona w kształcie. Odpowiedział mu jęk z drugiej strony korytarza. Z trudem stanął na nogach i, potykając się, podszedł do kraty.

— Kolego, ahój! — zawołał, opierając się o kratę.

Rozeczochrana postać ukazała się w celi naprzeciw.

— Jak się czujesz, Sam? — krzyknął Ben.

— Doskonale. A ty?

— Jaknajlepiej. To była heca, he?

— Prawdę mówisz — westchnął Sam. — Tak się zmachałem, że teraz byle szczeniak jednym palcem by mnie przewrócił. Ale tyś się klawo bił, brachu.

— Naogół rzecz biorąc — oznajmił Ben — ta walka warta była mojej podróży.

Nagle coś sobie przypomniał i zmarszczył się. Wsunął rękę do kieszeni, szukając w niej. Po chwili wyciągnął złotą obrączkę, błyszczącą szderczo w jasnych promieniach słońca. Popatrzył na nią z wahaniem, poczem wzruszył ramionami i rzucił przez kratę do celi tamtego.

— Przyszło mi do głowy, Samie, że możebyś chciał kupić to odemnie, co? Odstąpię tanio.

EDWARD ESTAUNIE

członek Akademii Francuskiej

9)

GŁOS Z ZA ŚWIATA

Zupełnie opuszczona, aleja Trianon przedstawiała inny widok. Sierociniec zabawiał się tu pod opieką dwóch zakonnic. Lormier zawahał się, nim przeszedł przez ten rój dzieciaków, wreszcie się zdecydował. Lecz nagle jedna z dziewczynek przez nieuwagę, biegnąc, potrafiła go. Jednym skokiem usunął się w bok, jak za dotknięciem czegoś nienawistnego. Słyszałem, jak mruczał:

— One nie mają rodziców, a jednak żyją!...

Nie dokończył swojej myśli, ale wyczytał ją w jego wzroku, jaki rzucił na niezręczną dziewczynkę: dlaczego żyją te wydziedziczone, skoro nie mają nikogo, aby je żałował? Jakiż śmierć czyni niedorzeczny wybór!

I przeszliśmy, udając, że nie zauważyliśmy nawet ukłonu zakonnic, która się usunęła, aby nam zrobić wolne przejście.

Szliśmy prosto, bez widocznego pośpiechu. Szliśmy olbrzymią aleją, oblaną purpurą zachodzącego słońca, które zdawało się szdzieć z naszej małości i naszych nieszczęść. Czemże są dwaj biedni ludzie wobec olbrzymiego lasu, ogarniętego pożogą jesiennego nieba? A jednak nigdy — nigdy — tak dokładnie, jak podczas tego marszu, nie pojąłem, jak nieskończoną wyższość posiadamy nad przyrodą. Pomiędzy nami i nią jest tajemnica: cierpienie; ta wielkość — to znajomość zła bez ratunku, to władza okrucieństwa, zachowana jedynie dla ludzi, to rozpacz...

Po dwudziestu minutach Lormier zatrzymał się przed domem, o ile pamiętam, stojącym na rogu ulicy Angiviller i Angoulême. Przeszedłszy bramę, podwórze, w głębi którego dawnym zwyczajem mieściły się lokale, wdrapaliśmy się po drew-

nianych, froterowanych schodach. Lormier włożył klucz w zamek, pchnął drzwi i, usuwając się, rzekł:

— A więc jesteśmy.

Wszedłem pierwszy, jak sobie tego życzył.

Ciasnota i ubóstwo tego mieszkania zadziwiły mnie. Małe kwadratowy przedpokój na parę stóp zaledwie, oraz dwa szczupłe pokoiki stanowiły całość. Nie spotrzegłem również mebli z Semur. Było to bardzo skromne urządzenie, z zasłaną do podnoszenia, z wypłowiałym dywanem i niezbędnymi sztychami poobrywanymi pod szkłem. Myśl, że Lormier umieścił córkę w takim otoczeniu, gdzie, być może, zakończyła ona życie, była mi ogromnie przykra.

Pan Lormier tymczasem rzucił kapelusz na łóżko, wziął krzesło i wskazał mi inne.

— Pozwoli pan, że nieco odpocznę — powiedział.

I nie troszcząc się więcej o moją osobę, zdawał się rozmyślać. Czyżby już żałował, że mnie tu sprowadził? W każdym razie postanowiłem przerwać milczenie, zająłem miejsce i zapytałem:

— Jak się to stało, że nie widzę tu dawnego pańskiego umebłowania? O ile sobie przypominam, posiadał pan śliczne fotele w stylu Ludwika XVI...

— Sprzedane. Nie mam ich już. Pochodziły od moich teściów.

— Od jak dawna pan tu mieszka?

— Odkąd żyję sam... wkrótce będzie trzy lata... Pokój umebłowany posiada wiele dogodności: żadnych kłopotów gospodarskich, łatwość przenoszenia się bez wielkich zmian...

Tym razem mówił z wielką łatwością i tem więcej, im bardziej rzecz była błaha. Czy zauważyliście, jakie zachodzą w ludziach zmiany przy słowach, które lękają się wypowiedzieć? Czynią wrażenie zupełnie pochłoniętych przez sprawy zbyt ważne, rozplývają się w gadulstwie; jednocześnie nie przestają myśleć o jedynie pochłaniającej ich rzeczy i przygotowują słowa, aby z ich pomocą tem jaśniej się wypowiedzieć.

— Trzy lata! — powtórzyłem zdziwiony. — Sądzilem, że pańskie nieszczęście zdarzyło się niedawno.

Nie odpowiedział, wątpię nawet, czy usłyszał. Nagle oparł łokcie na rozdzielającym nas stole i znowu na mnie spojrzał. Odgadywałem w nim to wahanie, które mnie w tej chwili uderzyło i bezwątpienia rozważał, w owej chwili, czy wywołanie przeszłości będzie ponad jego siły, czy nie. Następnie twarz jego, bardzo blada, stała się koloru popiołu. Postanowienie zostało dokonane.

— Jak mnie pan widzi, — zaczął ciężkim głosem — szukam rozwiązania jednego zagadnienia, od czego zależy resztką mego życia... Czy może mi pan darować jakieś pół godziny?... Tak? To dobrze. Będzie mnie pan tylko słuchał... Czas, potrzebny do przedstawienia sprawy... a później podziękuję panu...

Nie chciałem mu przerywać. Zadowolilem się skinieniem głowy na znak zgody. A on ciągnął dalej:

— Oczywiście, będzie to straszna opowieść: robi mi pan przyjemność, nie stawiając żadnych pytań; wyjaśnienia, o ile będą potrzebne, nastąpią później. Aby dojść do końca, muszę iść jakąś drogą... nawet będzie lepiej, gdy pan odwróci oczy... Abym ich nie widział, tak, jak teraz; aby mnie nie niepokoiły i abym nie potrzebował się ich obawiać. Przypuśćmy, że to nie ja mówię, ale jakiś nieznajomy w pokoju obok, i że pan go słucha poprzez jakieś przepierzenie.

Na ustach miał uśmiech rozdzierający serce.

— ...Przez jakieś przepierzenie!... Tak, doskonale. Pan będzie z jednej strony, a ja z drugiej. Nadewszystko życzę panu, aby między nami istniał — przedział.

Tak więc w jakimś nieznanym mi celu sprowadził mnie, aby zwierzyć mi tajemnicę swego nieszczęśliwego życia! Czyż mam wyznać, że cała moja ciekawość znikła — wobec tego tragicznego oblicza, które pragnął ukryć przede mną w swym smutnym i opuszczonym pokoju, gdzie mimo otwartego okna panowało ciężkie i duszne powietrze, przesycone atmosferą dramatu? Lękałem się jedynie, aby nie spłoszyć jakimś przypadkowym ruchem jego zaufania, z trudem zdobytego.

— Zanim pan rozpocznie, jeszcze jedno słowo: — przerwałem — czy jest pan zupełnie pewny, że nigdy pan nie pożałuje swego zaufania?

Pan Lormier przeciął tonem stanowczym.

— Proszę o tem pamiętać, że zanim tu pana sprowadziłem, rozważyłem swoje postępowanie.

A więc bez sprzeciwu zrobiłem to, czego sobie życzył, i odwróciłem głowę. Co się zaś tyczy przepierzenia, to z chwilą, gdy Lormier rozpoczął opowiadanie, czyż mieliśmy je usunąć?

Oto opowiadanie pana Lormiera ze wszelkimi odcieniami, jakie go ożywiały. Zechciejcie sobie jeszcze wyobrazić mimikę i ton głosu. Zbyt szybko porwany zostałem treścią, abym mógł zwracać uwagę na szczegóły. Jedno zatarło drugie w mej pamięci.

„Czy mam — zaczął — przypominać jedyną wizytę, jaką panu złożyłem i związane z tem wyznanie?... Nie?... A więc, pozostawmy to. Słusznie, czy niesłusznie oskarżam nieznajomego o oddalenie mnie od mej córki. „Szaleństwo lub zadróść, dwie rzeczy, które chodzą w parze“, — utrzymywał pan. Odszedłem, mówiąc: „Ani jedno, ani drugie“. Nie zdołał mnie pan przekonać: a tymczasem po naszej rozmowie zaszedł wypadek nieoczekiwany. Pewny, że się nie mylę, opuściłem pana, postanawiając więcej nad tem się nie zastanawiać. Tak długo zadowalałem się przypadkowymi wiadomościami lub przeczuciami, że teraz zdecydowałem się śledzić moją córkę!...

Pierwsze kroki na tej drodze wydają się zawsze łatwe. Mówi się do siebie: „Zadowolę się niemem czuwaniem“ i zdaje się, że ten sposób widzenia nie zmieni biegu rzeczy.

Z chwilą przejścia do akcji czynnej, rzeczywistość się mści i następuje klęska. Już tego samego wieczora, zaledwie powróciłem, musiałem klamać. Należało dać Genowefie pozory większej swobody: oznajmiłem, że nazajutrz zabieram się do mej pracy. „Tęsknię za mojem imadłem“, powiedziałem. Córka zdziwiła się, ale okazała radość. „A co, — rzekła — dobrze uczyniłeś, idąc do tego doktora. On ci powróci równowagę“. I tak, nim jeszcze zostało cośkolwiek rozpoczęte, każdy wziął jakąś rolę. Mniejsza z tem! Nie chciałem się cofać: od tej chwili wstąpiłem w ciemną aleję i zacząłem ją szpiegować.

Po raz drugi wymawiam ten wyraz. Aby wejrzeć w całą jego ohydę, zdaje sobie dopiero dziś sprawę, że trzeba było na to zostać szalonym, o co zresztą pan mnie niegdyś pomawiał... W istocie — szaleństwo tych godzin zużytkowywanych w podobny sposób, obecnie oplakiwane krwawymi łzami... a były one ostatnie, jakie mogłem spędzić szczęśliwie z mojem dzieckiem! Co do wyników — nie było żadnych. Stwierdziłem, że córka moja rozmawiała z wieloma ludźmi, a żadnego z nich nie można było brać pod uwagę. Chodziła do Notre Dame spowiadać się u księdza Valfour. Ale jaką rolę mógł ten ksiądz odegrać? nie wiem. Dodajmy do tego jedną lub dwie bytności w banku, gdyż doszedłszy do pełnoletności, chciała sama i z mego upoważnienia rozporządzać majątkiem po swej matce... i oto cała zdobycz miesięcznego przymusu, śledzenia z ukrycia i codziennych zrad. Badając, jak dawniej, każdą, najmniejszą chmurkę na jej twarzy, byłbym może żył przynajmniej obok niej — kto wie? — z lepszym wynikiem!

A także te chmurki służyły tylko do podniecania mego niepokoju przez ich smutną rozmaitość, aż wreszcie pewnego wieczora nie wytrzymałem i ośmieliłem się zapytać: „O czem ty myślisz?“

Nie otrzymałem odpowiedzi...

Ach, była to nadzwyczajna scena! Na przemian to rozkazując, to błagając, żądałem wyjaśnienia jego nazwiska, chciałem iść szukać tego

człowieka, zgóry dawałem przebaczenie nawet na zniknięcie...

Wtedy ona ograniczyła się kiwnięciem głowy:

— Ojcie, o czym ty myślisz? Jaki szal cię ogarnął?

Gdy się uspokoiłem, nie na tem nie zysłało ani jedno, ani drugie. Byliśmy zawsze zbyt wzruszeni, aby móc wierzyć w jakieś inne wydarzenia. Zresztą nazajutrz każde z nas oddawało się swym troskom głębokim: jeszcze raz zboleła nasze serca uderzały mocniej, a sytuacja wciąż była taka sama. Raczej nie... Nagle zniknęła melancholija mej córki, przyniatający smutek dni poprzednich zastąpiła jakaś gorączkowa wesołość, zwiększająca tylko moje obawy. Obecnie Genowefa sprawiała wrażenie podnieconej jakimś wewnętrznym pijaństwem, miała bezustanne porywy radości, trawiła z niecierpliwością godziny, tak, jak ci, co oczekują szczęścia lub żyją nadzieją zwycięstwa. Trwało to w ciągu tygodnia, tygodnia, niekończącego się, podczas którego i ja oczekiwałem, ale inaczej... W istocie nigdy bardziej nie odczuwałem, że coś nad nami się unosi. Rozróżniałem niemal ciężkie uderzenia skrzydeł. Byłem pewny, że coś się zdarzy, coś nas porwie...

Pamiętam nasze spotkanie: jedno pańskie powiedzenie utkwilo mi w pamięci, tak było prześlągnięte tragiczną ironją: „Widzi pan, że wszystko się dobrze układa”. — Cudowna przepowiednia! Oto, jak się ziściła w czterdzieści osiem godzin później:

Byłem właśnie w laboratorium. Wieczór. Nie spodzianie drzwi się otworzyły ostrożnie i ujrzałem córkę: miała twarz wzburzoną do niepoznania. Zapytałem ją natychmiast:

— Co ci jest?

Próbowała się uśmiechnąć:

— Nic... Chciałam tylko... postanowiłam prosić cię o pewną ofiarę, a w każdym razie o rzecz, której bardzo pragnę... namiętnie...

Na to słowo, natychmiast wyobraziłem sobie, że tu chodzi o *tamtego*. Zaledwie byłem w stanie wymówić:

— Wytłumacz się.

— Czy bardzo zależy ci na mieszkaniu w Semur?

Ustawicznie napastowany myślą o *tamtym*, z trudnością rzekłem jeszcze:

— O ile jestem z tobą, wszystko mi jedno gdzie: czemu o to pytasz i czego chcesz?

Widziałem, jak drżała; jednak jej oczy mogły mnie oszukać.

— Nade wszystko pragnę stąd wyjechać: mam niedorzeczną chęć pogrążenia się w Paryżu...

Czyżby *tamten* wyjechał również? Czy chce się z nim połączyć? Napewno! Najzupełniej było mi to obojętne, czy porzucę dom, czy w nim zostanę! Co do mnie, nigdy nie mogłem gdzieś wrosnąć... Ale proszę tylko pomyśleć, że zgadzając się, nakładam, być może, znów kajdany i to właśnie w chwili, gdy przypadek je skruszył! Nie miałem odwagi, aby zaraz powiedzieć: „Róbmy to, co ci się podoba” lecz przeciwnie, skrzyłem rozmowę.

— Dlaczego nie? Można to rozważyć... mamy jeszcze czas.

Złożyła błagalnie ręce:

— Właśnie, pragnęłabym, abyśmy się nie za-

stanawiali, ale wyjechali... teraz, zaraz... natychmiast... na przykład pojutrze...

Czyżby zamiast połączenia się z *tamtym* ona chciała od niego uciec?...

Odrzuć zacząłem się wahać.

— Niech będzie pojutrze, pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?

— Powiedz mi powód twego życzenia, prawdziwy...

Spojrzenie jej zmieszało się, jakby straciła głowę. Byliśmy u samego progu wyznania, mógłbym na to przysiąc! Trwało to jedną tysięczną sekundy, i już się opanowała.

— Ojcie, — wyszeptwała, — czyż ci to nie wystarczy, gdy powiem... do Paryża?

Zrobiłem groźną minę.

— Ale jaki powód! Ja go żądam... potrzebny mi jest natychmiast.

Nie dokończyłem. Wyciągnęła ręce, jakby dla powstrzymania słów, które mogły nastąpić i postąpiła ku mnie.

— Zaklinam cię... tam dopiero... Masz moje słowo... święte słowo. Zato teraz, dziś, oszczędź mnie... oszczędźmy się oboje! Nie odpychaj mnie, zwłaszcza, gdy szukam w tobie ucieczki!

Wówczas, zrozpaczony — czując, że ona cierpi, choć nie wiedziałem, dlaczego i przez kogo, lecz, oszołomiony myślą, że nareszcie powraca schronić się w me ramiona, uściśnałem ją.

Nie pomnę już, co potem nastąpiło. Wołałem tylko:

— Kiedy chcesz! I dokąd chcesz! Abyś tylko była szczęśliwa!

I doznałem niewysłowionej ulgi w chwili, po której powinno się umrzeć, gdyż życie daje ją raz tylko, a wspomnienie jej w nieszczęściu służy do mierzenia szczytu, z jakiego się spadło...

Nasz wyjazd nastąpił nazajutrz. Meble nadeszły wkrótce, skorośmy tylko znaleźli mieszkanie.

Pierwsze dni w Paryżu... Szukałem mieszkania i wdrapywałem się po piętach. Genowefa, aby jaknajprędzej z tem skończyć, robiła to samo. Spotykaliśmy się dopiero wieczorem, upadając ze zmęczenia. Znużenie znieczulało mnie zupełnie. Gdyby nie to, odczułbym, że męczarnia znów się rozpoczęła, choć w inny sposób.

Wreszcie, sądziłem, że coś odpowiedniego znalazłem. Przyprowadziłem Genowefę i zapytałem, czy pochwała mój wybór.

— Tak, to jest doskonałe.

— W takim razie pośpieszmy się z wprowadzeniem.

— Tak, tak będzie lepiej.

— Jakto? tak będzie lepiej?... Czyż nie jest to więcej, niż mogłaś sobie życzyć?

— Tak, bezwątpienia.

Na każde „tak” jakiś gest nieokreślony, obojętny; lecz nagle opamiętała się i uściśkała mnie.

— Ojcie! Jakiś ty dobry!

Powtarzam te słowa, gdyż przez nie wszystko się zatarło... Tego dnia wystarczyły, aby mnie zaślepić. Wprowadzanie się, urządzenie — skończyło się; rozpoczęło się nasze życie sam na sam, jakież można było mieć złudzenia? Nietylko *tamten* nas nie złączył, ale dosłownie pożerał moją córkę!

Tak, kiedyś Genowefa od czasu do czasu uśmiechała się do mnie; od chwili zaś, gdy stała się jego łupem, była to milcząca mara, przynębiona,

nieruchoma, zawsze nieprzytomna. Zadawałem sobie pytanie: „Czy w takim stanie będzie mogła żyć?” I już za chwilę, wzburzony gniewem, miałem ochotę krzyknąć: „Dlaczego czekasz z wykonaniem swego przyrzeczenia, czemu mi nie objaśniasz?” Jednak ani jedno, ani drugie ust nie otwierało. Było to jakieś zaraźliwe milczenie. Naprawdę — umieliśmy tylko czekać, cierpieć i obawiać się! Och! Szaleństwem jest odliczać przeszłość od niewdzięcznej teraźniejszości! Czemuż nie zostało tak, jak było dotąd? Czemuż moja córka, wierna danemu słowu, zaczęła wreszcie mówić?

Czyż zdołam to powtórzyć?

Zaczęła mówić... Od czterech prawie miesięcy oczekiwałem tej godziny... Mówiła, a głos jej bolesny dochodził do mnie z głębi otchłani:

— Ojcie, nadeszła chwila...

Chrystus w ogrodzie oliwnym musiał tak samo jęczeć: „Ojcie, niech spełni się Twoja wola!”

Słuchałem, nie podejrzewając, co nastąpi, miałem pewność swojej Kalwarji. Miałem ochotę rozkrzyżować ramiona!

Wreszcie cios uderzył:

— Ojcie, wybacz mi: nigdybym cię nie porzuciła dla człowieka, ale oblubieniec, którego wybrałam, nie znosi podziału. Uśłuchajmy Boga, on chce mieć mnie całą dla siebie. Nie mogę dłużej opierać się, czuję jego łaskę, wstępuję do Karmelitanek...

Nie rozumiałem, jak ja to mogłem przeżyć i że na miejscu ten cios mnie nie zmiażdżył. Czy pan wie, że można stracić dziecko, mimo, że ono żyć nie przestaje! Pewnego dnia ojcowie skazani są na to, że muszą sobie powiedzieć: „Córka moja żyje w domu, który mego domu dotyka i nie zobaczę jej już nigdy, nawet w trumnie!” Nie nie wiedziałem... Nie jestem nawet pewien, czy wszystko odrazu zrozumiałem. Trzeba pewnego czasu, żeby przywyknąć do wielkości swego nieszczęścia. Gdy się je zrozumie w całości od pierwszej chwili, przestaje się cierpieć, ale przestaje się również żyć i ma się przeświadczenie, że jednak dobry Bóg do tego nie dopuści... Zbłądziłem... Miałem opowiadać same tylko fakty. Wszystko inne, cierpienia, które nas dręczyły, lzy — wypaliły mi oczy, gdyż w owym czasie płakałem, — włosy moje posiwiały, wszystko to były drobne szczegóły. Wróćmy do głównej sprawy.

Pewnego ranka obudziłem się w pustym mieszkaniu. Nareszcie *tamten* odniósł zwycięstwo. Genowefa odeszła. Nie miałem już dziecka...

Następnie, po pewnym ciężkim czasie, ustaliło się w mej pamięci... Genowefa wstąpiła do Karmelitanek w Wersalu. Sprzedałem meble, instrumenty, książki, — aby uciec od przeszłości, wyprzedłem wszystko, aż do ubrania! — i przyszedłem tutaj. Było to przed trzema laty: tak, jakby wczoraj.

Od chwili, gdy wszedłem do tego pokoju, moje życie nie może być gorsze, zdaje się wyzywać przeznaczenie. Nadmiar rozpacz przynosił ukojenie, gdy się wierzyło, że może kres nastąpić.

Ach! Gdy córka moja została karmelitanką, ja stałem się zakonnikiem świeckim, odartym ze wszystkiego, nawet z nadziei w Boga. Najmniejszego zainteresowania do niczego, oderwanie się zupełne, wstręt zarówno do dobrego, jak i do

złego, do dnia zeszłego, jak i do jutra, które oby nigdy nie nastąpiło. Jedyna rzecz, jaka jeszcze we mnie żyła wśród tych ogólnych gruzów, to myśl, że córka moja jest tam — patrz pan, można stąd widzieć klasztor; — że ona tam była, prawie, że można ją było zawołać i gdzie jednak umarła!

Z początku usiłowałem ją zobaczyć. Zna pan regułę. Prośby wpadały, jak kamień w wodę, choć wrzucałem je za zasłonę, zastępującą kraty; odpowiedzi dawane przez siostrę dozorczynię, na nic nie odpowiadały. Zamiast wiedzieć, czy córka wasza jest szczęśliwa, czy jest zdrowa, czy twoja obecność jest jej przykra, nie więcej na to wszystko — tylko dźwięk głosu. To jeszcze nie wszystko. Listy klasztorne są wszystkie jednakowe, wszystkie głosy podobne. Podczas każdych odwiedzin, widziałem stopniowy zanik tej, która była moją córką. Mrok klasztorny, podobnie, jak nocny, pochłaniał stopniowo w nieznaczny sposób jej widzialną postać. Doszedłem wreszcie do tego, że pytałem się niekiedy, czy to ona istotnie odpowiada na me pytania czy też inna ją zastępuje. Wkrótce, zniechęcony, przestałem tam chodzić. Nie byłem nawet obecny przy jej obłóczynach. Zapewniano mnie, że córka moja czuje się szczęśliwa; czegoż więc żądać i czyż wszyscy ojcowie nie powinni wyrzec się swych dzieci, aby im zapewnić los podobny?

Niestety, panie! zdaje mi się, iż zaprzestałem tam chodzić, gdyż niezadowolenie zbuntowanego serca doprowadziło mnie do tego, że zacząłem nienawidzić Boga!

Przypuśćmy — gdyby to był kochanek, to co najmniej pozwoliłby mi widzieć moją córkę! Wcześniej czy później ludzie się rozchodzą; tego lub innego dnia córka moja, opuszczona, powróciłaby znowu do mnie! Podczas, gdy Bóg!... Bóg, którego się nie widzi, który, być może, nie istnieje wcale... Bóg, który ma przyjemność w wyborze cierpienia ludzkiego, ach! czyż On kiedy wypuści swą zdobycz? Zabiera i zatrzymuje wszystko.

Ileż to razy wówczas udawałem się po południu do kaplicy u Karmelitanek. Przychodziłem w godzinie nabożeństwa, mając nadzieję, że wśród śpiewów rozpoznam jedyny głos, który mnie obchodził. Ale ledwie usiadłem, uderzał mnie symbol widoku: za czarną zasłoną kobiety żarliwie modlą się przed cymborjum, którego nie widzą, jest ono równie puste, jak nawa kościelna. „Oto dlaczego, myślałem, — nie mam już córki: zasłona przeszkadza ją widzieć!” I, wściekły, odchodziłem, gdyż nigdy ta zasłona nie może się uchylić, a tembardziej nie może zatrzymać wołania do Boga, który nie odpowiada!...

Przepraszam... Znowu mówię o sobie. Jakąkolwiekby się posiadało wolę, zaledwie można usunąć pewne wspomnienia. Ale czemuż one są zresztą...

Przeszło dwa lata.

Zeszłego roku 10 lipca, jedno słowo przełożonej oznajmiło mi, że Genowefa zachorowała. Okłamano mnie zresztą; dowiedziałem się, że już od samego wstąpienia suchoty niszczyły jej organizm.

(d. c. n.)

(Przeł. autoryz. Zofji Dygasińskiej-Wolertowej)

POWIEŚĆ LEKKOMYŚLNA

VI

Ziablikow wyczuwał instynktownie, że w domu na coś się zanosi, że wkrótce coś wybuchnie. Nie wiedział jeszcze, o co chodzi, lecz na każdym kroku wyczuwał jakieś niejasne groźby. Ustały wprawdzie awantury, lecz to go nie uspokajało, przeciwnie, — nawet nakazywało podwoić czujność. Nie wierzył, aby komsomolcy skapitulowali. Wałęsając się po korytarzu i podkradając się na palcach pod cudze drzwi, słyszał, jak szepcą coś długo w nocy, omawiając widocznie jakieś plany. Przy spotkaniu spuszczały oczy. Wymijali go, unikali rozmów i zachowywali się, zdaniem jego, tajemniczo.

Stary Fiedosiejew, który dawniej zupełnie wyraźnie należał do obozu Ziablikowych, — teraz zaczął się trzymać zdaleka. Wprawdzie nie czynił im żadnych przykrości, lecz nie rozmawiał z nimi tak chętnie, jak dawniej i gdy Ziablikow przychodził do komórki, gdzie były zamknięte ptaszki, przypatrywał mu się badawczo, jakby starając się przejrzeć go na wylot. Ziablikow widział, że do komórki co chwila wpada Wieszka i przeczuwał jakąś intrygę. Znienawidził więc staruszkę i odczuwał coraz bardziej chęć zrobienia mu jakiegoś świństwa.

Głasza też zmieniła się nie do poznania. Gdy raz z przyzwyczajenia spróbował uszczypnąć ją w przejściu przez korytarz, uderzyła go z całej siły łwką po ręce i opowiedziała o tem żonie. Gdy wyszedł, że Głasza chodzi wieczorami do pokoju Wieszki i nazwał go rudym potworem, jej zaś zagroził, że wypędzi ją za rozpustny tryb życia — bez słowa odpowiedzi przeszła go takim wzrokiem, że zrobiło mu się nieswojo na duszy i, podtrzymując poły szlafroka, czempredziej opuścił kuchnię.

Wszystko to nie wróżyło nie dobrego i chcąc się czegoś dowiedzieć, Ziablikow bezustannie myszkował po korytarzu, podkradał się pod wszystkie drzwi, wyrastał nagle jak z pod ziemi, gdy gdzieś osoby, przechodząc przez korytarz, zatrzymywały się, by porozmawiać. Podchwytywał urywki zdań, gesty, spojrzenia, intonacje — i wyciągał z nich wnioski. Wkońcu dowiedział się, że szykuje się ogólne zebranie lokatorów i teraz rozumiał, co oznacza oschły ton starego Fiedosiejewa i nagle zmiana w zachowaniu się Głaszy; to oznaczało, że komsomolcy pocichu werbowali sobie sprzymierzeńców; to oznaczało, że uparcie i wytrwale podkładali proch pod gmach jego szczęścia. Bomba miała wybuchnąć na zebraniu.

Zaskoczyło go to i przeraziło. Chodziło nie o to, że zmuszą go do przestrzegania czystości we wspólnych ubikacjach, do wietrzenia pokoi, do uprzątnięcia nimfy, palmy i beczki kapusty. Ostatecznie mógł się z tem pogodzić. Ale zaraz po wprowadzeniu się słyszał od komsomolców o ich planach utworzenia nowego życia. Ziablikow rozumiał, że wchodzi tu w grę rzeczy znacznie ważniejsze, niż nimfa, palma i kapusta. Przypominał sobie, że chcieli zorganizować wspólną kuchnię i jadalnię dla całego domu. Wtedy, gdy usłyszał to,

roześmiał się, uważając ten plan za niewykonalny.

— Przecie to niemożliwe — powiedział. — Naprzykład wy chcecie dziś jeść zupę z zacierkami, a ja, — chłodnik z kwasem. Więc jak to połączyć?

— No chętnie ustąpię, — odrzekł Wieszka — niech będzie dziś chłodnik, a jutro zacierki.

— A przypuśćmy, że ja i jutro zechcę chłodnik z kwasem. A może nawet codzień?

— Codziennie kwas? To niemożliwe. Od tego dostaje się czkawki.

— A może ja chcę mieć czkawkę? Może to mi sprawia przyjemność? Kto mi zabroni?

— Ależ proszę! Jeśli się panu podoba!

Ziablikow mówił dalej, wzruszając ramionami i wymachując rękoma.

— Żeby ktoś mnie zmuszał do jedzenia z cudzego rondla? A może on jest zaświniiony? Może tam ktoś napluł?

Tania, obecna przy tej rozmowie, otrząsnęła się z obrzydzeniem.

— Co też panu przychodzi na myśl! Ktoby pluł do cudzego rondla?

— Zdarzały się takie wypadki! Zdarzały! Jeśli chcecie wiedzieć, to ja sam plulem do rondli sasiadce Arczutkinej, gdy siedziała zbyt długo w ubikacji.

— Nie wiem już, jak to nazwać — rzekł oburzony Wieszka, zatapiając palce w rudych włosach. — Upiory przeszłości!

— Plulem, przyznaję się do tego! Bo djabli człowieka biorą! Wejdzie tam, zabierze z sobą romans, kieszenie ma pełne irysów, rozsiądzie się, jak królowa, i rozkoszuje się. A ty człowieku rób co chcesz — biegnij choćby na plac, na drugi koniec miasta albo na dworzec kolejowy. Pukasz do niej — nie odzywa się. Zgasisz światło, — to też nie pomoże; przewidziała to, szelma, i wzięła z sobą świece. Siedzi przy świecy jak podczas wigilji. Jak jej tu nie napluć w barszcz ze złości! Albo też nasypię do pieczenia naftaliny. A nuż zaczniesz się wtedy prędzej ruszać...

— Fe, jakie to wstrętne! — Tania odwróciła się z obrzydzeniem.

— Więc już darujecie, moi państwo. Zasadniczo podzielam wasze przekonania polityczne, lecz nie chcę jeść z nieczystych rondli. Nie jestem też przyzwyczajony do łyżek umocowanych na łańcuskach...

Rozmowa ta nie dała wówczas realnych wyników, ale Ziablikow zapamiętał wszystko, co wtedy mówiono. Zrozumiał, że komsomolcy mają szczegółowo opracowany program, oparty na zasadach kolektywnych, i że dążą do zorganizowania komuny w obrębie domu. Przeląkł się nie tyle czystego powietrza, trapezów i głośnika we wspólnej sali, ile tego, że wciągną ich do wspólnego życia, w którym wszystko jest wyprowadzone na światło dzienne.

Przywykł do swego kąta, odgradzonego od reszty świata, do którego nikt nie zaglądał, w którym nie potrzebował się z nikim liczyć, w którym mógł

żyć jak mu się podobało, paradować w niezapiętym szlafroku nie tylko w znaczeniu fizycznym, lecz i moralnym.

— „Oni“ nie mieli tam dostępu. Miał swe nawyki, tradycje, poglądy, gusta i dość dużo różnych drobnych grzeszków. To też obawiał się jak ognia wtargnięcia obcych do swego małego, zamkniętego i zazdrośnie strzeżonego światka, — jak stary spleśniały grzyb boi się promieni słońca i powiewu wiatru. Rozumiał, że z chwilą gdy „oni“ zwyciężą, runie cały układ jego życia, wypracowany w ciągu tylu lat i będący już niezbędnym warunkiem jego istnienia. Przy systemie, do którego dążyli komсомолcy, wszystkie chwile jego życia będą zatrute. Niezależnie od tego żywił jeszcze instynktowna niechęć do tych zdrowych, wesółych, ruchliwych dzieci. Nad źródłem tej niechęci nie zastanawiał się nigdy, ale żyć z nimi jakimś wspólnym życiem — to było ponad jego siły. To też gdy dowiedział się o majacem się odbyć zebraniu, ogarnął go nieopisany lęk. Niebezpieczeństwo było tuż pod nosem i nie bagatelizował go bynajmniej. Nie chciał, by wypadki zaskoczyły jego i rodzinę, — wołał je uprzedzić i zwołał w tym celu radę rodzinną. Zaproszono na nią też inżyniera.

Wprawdzie matrymonjalne plany Ziablukowych spełzły na niczem. Nawet była mała przykrość z tego powodu; mianowicie: inżynier wprost oświadczył, iż prosi, aby mu dano spokój. Jednak w sprawach mieszkaniowych był to ich sojusznik, na którym można było polegać.

Z komсомолcami nie utrzymywał żadnych stosunków. O awanturach i kłótniach, rozgrywających się na terenie mieszkania, dowiadywał się tylko za pośrednictwem Ziablukowych, gdyż całe dnie i część nocy spędzał poza domem. Ziablukowie zaś w swych opowiadaniach o intrygach i awanturach komсомолców przedstawiali ich w bardzo czarnych barwach. Mając takie oświecenie faktów, inżynier był pełen oburzenia na młodzież i stał się zagorzałym przeciwnikiem „tych ludzi“.

— Najważniejsza rzecz, to rozbić ich siły! — rzekł Ziabluk w ostatecznym wniosku po wyłożeniu sprawy.

— Czego oni właściwie chcą? — spytał inżynier. — W każdym razie możemy być spokojni: nie mają przecież większości.

— Werbuja sobie stronników — odrzekł Ziabluk. — Jeżeli nie będziemy czuwać, to ani się obejrzymy, jak na wszystkich ścianach porozwieszają swoich Marksów i Engelsów i wkońcu wlezą nam na głowę. Kroku nie pozwoli zrobić. Znam ja ich dobrze. Niech się tylko jeden komсомолец w domu zagnieżdży, to już niema spokoju, a coś dopiero — troje! I ciągle tylko szu szu i szu szu... Wczoraj przechodziłem koło drzwi — znowu słyszałem, jak szeptały w ciągu jakichś dwudziestu minut.

Roztarł dłonią wielki, zalepiony plastrem guz na czole.

Inżynier uśmiechnął się.

— A więc pan dwadzieścia minut chodził koło drzwi?

— Przystanęłam na chwilę... Co w tem złego?... Jeśli nie chcą, żeby słyszano, co mówią, niech sobie sprawią portjery. Bo drzwi są cieniutkie, lekkie...

— Sądząc z pańskiego guza, nie można by tego powiedzieć: drzwi są raczej ciężkie!

— Albo głowa bardzo twarda, — zjadliwie zauważyła Serafima, która chętnie docinała ojcu.

Żorż spojrział na nią z wyrzutem. W głębi duszy on też gardził rodzicami. Uważał ich za ludzi słabych i zacofanych; nazywał ich w myśli „rozbitkami tonącego okrętu“. Zdanie to przeczytał w jednej z humoresek Awerczenki, ulubionego swego pisarza. Pogardzał ojcem za to, że nie potrafił zrobić kariery i przez całe życie liczył tylko cudze a nie swoje pieniądze.

Dla matki też nie miał szacunku za to, że będąc przystojną zamłodu, nie zrobiła lepszej partii. Ich potrzeby i zainteresowania, które zaczynały się na grze w karty i zupie na wieprzowych chrząstkach, a kończyły na dwuosobowym łóżu, pokrytem pierzynami — wydawały mu się zbyt małe i nędzne. Był bowiem zdania, że od życia należy żądać znacznie więcej. Irytowało go również wnętrze ich mieszkania: uważał, że wszystkie te nimfy, kozetki i portrety przodków są w złym tonie. Dla siebie marzył o sypialni z gobelinami i dębowej jadalni.

Brud, panujący w mieszkaniu, nie raził go, — przyzwyczajał się do tego od dzieciństwa. Lecz to, co było na widoku, powinno było być, zdaniem jego, w porządku. Rzeczywiście, ubranie jego było zawsze starannie odprasowane, a buty, czyszczone co rano przez Głazę, świeciły się zdaleka.

Mysłąc o swojej przyszłości, wyobrażał sobie, że życie jego pójdzie inną drogą, niż życie jego ojca. Postanowił dopiąć celu, choćby przyszła głowa rozbić mur. Miał posadę w banku i naprawdę był wzorowym urzędnikiem. Pracował bardzo dużo, ciągle się dokształcał i zwolna, ale wytrwale, korzystając z każdej sposobności, wszelkimi możliwymi drogami i furtkami prześlizgiwał się i szedł w górę.

Mysłiał też, że nigdy nie ożeni się lekkomyślnie, tylko dlatego, że spodoba mu się ładna buzia dziewczyny. Najchętniej szukałby w małżeństwie majątku, lecz w obecnym ustroju nie było posażnych pańien.

To też, chcąc zrobić karierę, postanowił ożenić się z komunistką. Z jego punktu widzenia żona komunistka, pozbawiona niepotrzebnych sentymentów, — jeśli jeszcze będzie obdarzona rozumem, — może stworzyć zupełnie znośne życie.

Wiedział, że jest pięknym chłopcem, i uważał, że należy wyzyskać tę okoliczność. Czasami myślał o zapisaniu się do partii, lecz powstrzymywały go obawy przed odpowiedzialnością i niewysoką skalą zarobków, która obowiązuje komunistów. Wkońcu postanowił pozostać w swej roli specja-sympatyka. To również była pozycja solidna i rokująca nadzieje. Oczywiście pod warunkiem, że uzbroi się w cierpliwość i wytrwałość.

(d. c. n.)

(Przekład H. Winawerowej).